

# Ludożerstwo w wagonach



MARK TWAIN

## Ludożerstwo w wagonach

TŁUM. NIEZNANY

Jechałem niedawno do St. Louis<sup>1</sup>. W drodze na zachód, po przesiadce w Terre Haute<sup>2</sup>, w stanie Indiana, na jednej z pomniejszych stacji wsiadł jegomość o bardzo sympatycznym wyglądzie, mający około czterdziestu pięciu, może pięćdziesięciu lat, i zajął miejsce na przeciwległej ławce przy oknie.

Przez godzinę gawędziliśmy nader przyjemnie o różnych różnościach. Wydał mi się bardzo rozsądnym i zajmującym towarzyszem podróży. Dowiedziawszy się, że jadę z Waszyngtonu<sup>3</sup>, zaczął mnie zasypywać pytaniami o najrozmaitsze osobistości i sprawy Kongresu<sup>4</sup>. Z jego słów przekonałem się wkrótce, że mam do czynienia z człowiekiem, który niejedno widział, będąc wtajemniczonym we wszystkie arkana politycznego życia w stolicy, aż do najdrobniejszych szczegółów charakteru, nałogów i zwyczajów niektórych senatorów oraz posłów parlamentu.

Tymczasem koło nas przystanęło na chwilę dwóch mężczyzn i jeden z nich rzekł do drugiego:

— Harris, jeżeli spełnisz moją prośbę, nigdy w życiu nie zapomnę ci tej przysługi.

W oczach mojego nowego znajomego zabłysła radość. „Zapewne to zdanie wywołało w nim jakieś miłe wspomnienie” — pomyślałem. Natychmiast jednak potem jego twarz powlekła się smutkiem, usta zacisnęły w nieledwie bolesnym wyrazie. Obrócił się do mnie i powiedział:

— Jeżeli pan pozwoli, opowiem panu historię, a raczej ukazę pewną tajemniczą kartę mego życia, kartę, której nie odsłaniałem przed nikim od tej pory, gdy miało miejsce owo zdarzenie. Posłuchaj pan cierpliwie i przyrzeknij mi, że nie przerwiesz mi ani razu aż do końca.

Obiecałem solennie, po czym mój towarzysz opowiedział następującą szczególną historię, a jego ożywienie niejednokrotnie zastępował przy tym głęboki smutek. Niemniej całe opowiadanie cechowała szczerść i prawda.

*Opowiadanie nieznanego*

Dnia 19 grudnia 1853 roku wyjechałem z St. Louis wieczornym pociągiem zdążającym do Chicago<sup>5</sup>. Mówiono, że w pociągu jest wszystkiego dwudziestu czterech pasażerów. Nie jechały ani kobiety, ani dzieci. Byliśmy w jak najlepszym nastroju i wkrótce porobiliśmy miłe znajomości. Podróż zanosila się doskonale, toteż przypuszczam, że nikt z nas ani przez chwilę nie przeczuwał tych okropności, jakie było sądzone nam zaznać.

O jedenastej w nocy zaczął padać gęsty śnieg. Minąwszy nędzną wioskę Welden, wyjechaliśmy w mglistą, głuchą prerię, ciągnącą się przed nami na niezmierzonej przestrzeni, bez najmniejszego śladu ludzkiej obecności. Wicher, nie napotykając przeszkód, jak drzewa, wzgórze lub skały, wściekle dął na otwartej zewsząd równinie, wzbijając i goniąc przed sobą tumany śniegu na kształt spienionych fal rozszalałego morza. Śnieg padał

Podróż

Podróż, Zima, Wiatr,  
Niebezpieczeństwo

<sup>1</sup>St. Louis — miasto w środkowej części Stanów Zjednoczonych, w stanie Missouri. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>Terre Haute — miasto w Stanach Zjednoczonych, w stanie Indiana; położone ok. 270 km na wsch. od St. Louis i ok. 290 km na płd. od Chicago. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>Waszyngton — stolica Stanów Zjednoczonych, położona nad rzeką Potomak, we wschodniej części kontynentu. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>Kongres — nazwa parlamentu Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>Chicago — miasto w Stanach Zjednoczonych, położone nad jeziorem Michigan, w płn. części kraju. [przypis edytorski]

bez przerwy, a wkrótce ze zwolnionego biegu pociągu wnieśliśmy, że lokomotywa toruje sobie przezeń drogę z coraz większą trudnością. Chwilami stawała zupełnie wśród olbrzymich zasp śnieżnych, wyrastających na drodze jak nadludzkie kurhany. Rozmowy z wolna cichły. Ogólna wesołość ustąpiła trwożliwemu oczekiwaniu. Perspektywa uwięzienia w śniegu na stepie, o pięćdziesiąt mil<sup>6</sup> od zamieszkałych miejscowości, stawała każdemu przed oczyma, zostawiając w umysłach podróżnych niepokój i obawę.

O drugiej w nocy z męczącej drzemki zbudziło mnie nagłe zatrzymanie się pociągu. Myśl o straszliwej rzeczywistości w jednej chwili zjawiała się w mojej głowie — byliśmy zasypiani śniegiem!

— Panowie, wszyscy do roboty! — krzyknął naczelnik pociągu i posłuszni rozkazowi wszyscy powyskakiwali z wagonów w głęboką noc, nieprzeniknioną mgłę, chrzęszczący śnieg i zbijający z nóg wicher, zdając sobie sprawę, że każda stracona minuta mogła stanowić o zgubie nas wszystkich.

Łopaty, ręce, deski — wszystko, absolutnie wszystko, czym można było odgrzebywać śnieg, zostało niezwłocznie puszczone przez nas w ruch. Smutny widok przedstawiała ta mała gromadka ludzi rozpaczliwie walczących ze zwałami śniegu, wśród nieprzeniknionych ciemności, przy złowrogim świetle reflektora olokomotywy.

Jedna godzina wystarczyła, by przekonać nas o całkowitej bezowocności naszych wysiłków. Zamiast zasypywała tor dziesiątkami nowych zwałów, zanim byliśmy w stanie uporać się z jednym. Ale co gorsze, wkrótce zrobiliśmy odkrycie, że ostatnie nadludzkie szarpnięcie się maszyny w walce z wrogiem spowodowało złamanie osi przednich i tylnych kół napędowych! A więc gdyby nawet tor został oczyszczony, sądzone nam było pozostać tu, wyczekując zmiłowania Bożego. Wróciliśmy do wagonów wyczerpani pracą, z dręczącym niepokojem w duszy. Zgromadziwszy się dokoła pieca, zaczęliśmy poważnie rozpatrywać naszą sytuację. Nie mieliśmy ze sobą żadnego prowiantu — oto, co napełniało nas największą trwogą. Zamarznąć nie mogliśmy, gdyż węglarka zawierała niemały zapas opału. I to stanowiło całą naszą pociechę. Narady stanęły wreszcie na tym, iż zgodziliśmy się z okrutnym dowodzeniem maszynisty, że każdy, kto odważy się przejść pieszo pięćdziesiąt mil w taką zawieję, musi to przyplacić życiem. Nie mogliśmy więc posłać po pomoc, a gdybyśmy nawet mogli, to znikąd nie bylibyśmy jej otrzymali. Pozostawało nam jedynie poddać się losowi i cierpliwie oczekiwać ocalenia lub głodowej śmierci! Myślę, że najbardziej hartowne serce musiało zadrzeć, gdy usłyszeliśmy ten straszliwy wyrok.

Z godzinę jeszcze w rozmaitych punktach wagonu trwały prowadzone stłumionym szeptem rozmowy; zawieja srożyła się wciąż z jednakową siłą; lampy dogasały, nieszczęśni pasażerowie rozeszli się po ciemnych kątach, usiłując, o ile możliwości, zasnąć i zapomnieć o swym rozpaczliwym położeniu.

Minęły wreszcie męczące godziny owej nocy bez końca — a istotnie taka się nam ona wydała — i mroźna, popielata zorza zaświtała na wschodzie. Gdy się już dobrze rozwidniło, pasażerowie zaczęli się ruszać i dawać oznaki życia; jeden za drugim budzili się, poprawiali pozsuwane na bok czapki, wyprostowywali zastałe członki i spoglądali przez okno na rozścielający się przed nimi posępny widok, od którego rzeczywiście zimno się robiło na duszy. Naokół, jak okiem zasięgnąć, nie widać było śladu ludzkiej stopy i nic oprócz bezkresnej równiny, i tylko olbrzymi śnieżny całun, falujący pod naporem wichru i gęste płaty śniegu zakrywały niebo.

Cały dzień włóczyliśmy się z kąta w kąt po wagonach, mało mówiąc, ale wiele rozmyślając. Przyszła druga męcząca noc — a wraz z nią głód.

Następny świt przyniósł znowu dzień milczenia, smutku, dręczącego głodu, beznadziejnego wyczekiwania pomocy, która znikąd przyjść nie mogła. I oto jeszcze jedna noc niespokojnego snu z marzeniami o ucztach — i przebudzenie w straszliwych kurczach głodu.

Przyszedł i minął czwarty dzień — i piąty! W oczach każdego stał wściekły głód, a w spojrzeniu odbijało się jakieś straszliwe postanowienie, przyczajone nieświadomie we wszystkich sercach, a którego wypowiedzieć nie ośmielały się jeszcze ani jedno usta.

<sup>6</sup>mila — miara odległości w krajach anglosaskich równa ok. 1,6 km; 50 mil to ok. 80 km. [przypis edytorski]

Zima

Zima

Głód

Minął i szósty dzień — zaświtał i siódmy nad tą gromadką wymizerowanych, rozbawionych, zrozpaczonych ludzi, którzy stali w obliczu śmierci. Cierpliwość została wyczerpana — przysła chwila wypowiedzenia się! To, co od dawna już tało się w sercu wszystkich, lada sekunda miało zerwać się z ust! Natura ludzka nie miała możliwości dłużej panować nad sobą i musiała się poddać. RICHARD H. GASTON z MINNESOTY, wysoki, błydy, chudy jak szkielet, podniósł się ze swego miejsca. Wszyscy wiedzieli, co ma na myśli. Wszyscy przygotowali się, z nadludzkim wysiłkiem usiłując stłumić w sobie niepokój i wszelki przejaw wzruszenia, zaś w tych do niedawna jeszcze tak dzikich oczach czytało się jedynie pełną godności i skupienia uwagę.

— Panowie! dłużej odkładać niepodobna! Czas ucieka i musimy postanowić, kto z nas ma umrzeć, by nakarmić pozostałych.

Zaraz po nim wstał PAN JOHN J. WILLIAMS z ILLINOIS i powiedział:

— Panowie, oddaję swój głos na wielbego Jamesa Sawyera z Tennessee.

PAN WILLIAM R. ADAMS z INDIANY powiedział:

— Proponuję pana Daniela Słote'a z Nowego Jorku.

PAN CHARLES J. LANGDON: — Ja zaś pana Samuela A. Bowena z St. Louis.

PAN SLOTE: — Panowie, pragnę ustąpić ten zaszczyt panu Johnowi A. van Nostrandowi-juniorowi z New Jersey.

PAN GASTON: — Jeżeli nikt nic nie ma przeciwko temu, jestem gotów zgodzić się z pańskim zdaniem.

Ponieważ pan van Nostrand był przeciwny, propozycja pana Słote'a została odrzucona. Wnioski panów Sawyera i Bowena zostały odrzucone na tej samej zasadzie.

PAN A. L. BASCOM z OHIO: — Wnoszę o zamknięcie listy kandydatów i przystąpienie zgromadzenia do wyborów w drodze głosowania tajnego.

Na to PAN SAWYER powiedział: — Panowie, stanowczo protestuję przeciw tej formie obradowania. Jest ona bezwzględnie niesprawiedliwa i nieuzasadniona. Prosiłbym, aby propozycję tę odrzucono raz na zawsze i wybrano przewodniczącego zgromadzenia, dodawszy mu godnych pomocników, a wówczas możemy przeprowadzić sprawę rozumnie i dla wszystkich zrozumiale.

PAN BELL z IOWA: — Panowie, pozwólcie mi zaprotestować. Nie czas teraz sprzeczać się o formy! Siedem dni byliśmy pozbawieni pożywienia! Każda minuta, która upływa na bezcelowych przekomarzeniach, powiększa nasze męczarnie. Zgadzam się na dokonane już wybory, jak również gotów jestem wraz z innymi oddać sprawę pod głosowanie, na którego spomiędzy nas los wypadnie. Pragnąłbym jedynie przyspieszyć rezolucję...

PAN GASTON: — Odpowiem na to, że wybory potrważą co najmniej cały dzień i że tym samym musi nastąpić zwłoka, której pan chce właśnie uniknąć. Gentleman z New Jersey...

PAN VAN NOSTRAND JUNIOR: — Panowie, jestem tutaj obcy, nie szukałem zaszczytu, który mi przypadł w udziale, i mam pewne skrupuły...

PAN MORGAN z ALABAMY *przerwywając*: — Proponuję pozostać przy ostatniej propozycji.

Sprawę tę rozpatrywano powtórnie i po dłuższych debatach rozstrzygnięto w duchu aprobaty. Propozycja co do wyboru pomocników również została przegłosowana i na stanowiska te, po obraniu pana Gastona na przewodniczącego, powołano: pana Blake'a na sekretarza, panów Holcomba, Dyera i Baldwina na członków komisji ds. nominacji, wreszcie pana R. M. Howlanda, dostawcę, aby pomagał komisji w dokonywaniu wyboru.

Po czym nastąpiła półgodzinna przerwa, podczas której odbywały się nieliczne prywatne narady. Na dzwonek przewodniczącego posiedzenie otwarto z powrotem, a następnie komisja oświadczyła, iż los padł na panów George'a Fergusona z Kentucky, Luciena Herrmana z Luizjany i W. Messicka z Kolorado, jako na kandydatów. Rezolucję tę przyjęto.

PAN ROGERS z MISSOURI: — Panie przewodniczący, mimo całej prawidłowości dokonanego postanowienia, pragnąłbym zrobić w nim poprawkę, zamieniając wybór pana Herrmana na korzyść pana Luciusa Harrisa z St. Louis, którego znamy wszyscy z jak najpochlebniejszej strony. Nie chciałbym, byście panowie dojrżeli w moich słowach zamiar rzużenia najlżejszego nawet cienia na wysokie przymioty oraz owocną działalność społeczną pana Herrmana z Luizjany! Daleki jestem od podobnej myśli. Cenię i szanuję go, nie ustępując w tym żadnemu z obecnych tu gentlemanów; nikt z nas wszakże nie

może zaprzeczyć oczywistemu faktowi, że w ciągu ostatniego tygodnia, który tu w tak fatalnych warunkach spędziliśmy, ubyło mu więcej ciała aniżeli komukolwiek z nas — ani też temu, że komisja zaniedbała swego pierwszego obowiązku, przez niedbalstwo lub z innej ważniejszej przyczyny, wystawiając na kandydata pod głosowanie gentlemana, który, przy całej czystości swych zamiarów, posiada jednak niesłychanie małą wartość odżywczą...

PRZEWODNICZĄCY: — Czy gentleman z Missouri nie zechciałby usiąść? Nie mogę zezwolić na sądenie postępowania komisji inaczej, jak w prawidłowym porządku prawnym. Jak zgromadzenie zamierza zachować się wobec interpelacji gentlemana z Missouri?

PAN HALLIDAY z WIRGINII: — Do oświadczenia tego wniosłem poprawkę, w sensie zamiany pana Messicka na pana Harveya Davisa z Oregonu. Panowie odpowiedzą mi może na to, że niewygodny i przykrości dawnej służby na pograniczu uczyniłyby mięso jego twardym i żyłastym; ależ, panowie, w tej chwili nie czas się zastanawiać, czy człowiek ten jest twardy, czy nie, nie czas się spierać o drobiazgi bez znaczenia! Nie, panowie, ilość pożywienia — oto, czego nam teraz potrzeba. Tak, ilość, rozmiary, waga — oto, co winno teraz być na pierwszym planie... bynajmniej zaś nie zdolności, nie charakter, nie wykształcenie. Trwam przy swej propozycji.

PAN MORGAN *zapalczywie*: — Panie przewodniczący! Jak najbardziej stanowczo protestuję przeciw tej poprawce. Gentleman z Oregonu jest stary, a w dodatku waga jego spoczywa w kościach, jedynie w kościach, nie zaś w mięsie. Zapytuję gentlemana z Wirginii, czy chce nam dać rosół zamiast solidnego, odżywczego pokarmu, a może też zamierza nas nakarmić cieniem człowieka? Czyż nie szydzi z naszych cierpień ten, kto zamiast pożywienia proponuje nam jakieś chude, oregońskie widmo? Zapytuję go: czy jest w stanie patrzeć na otaczające go zbolale oblicza o posępnym wejrzeniu, słuchać bicia serc naszych, przepelnionych trwogą i oczekiwaniem, i proponować nam tak nędzną strawę? Zapytuję go, czy jest w stanie myśleć o naszym rozpaczliwym położeniu, o wycierpianych przez nas katuszach, o okropnej przyszłości i bezlitośnie narzucać nam ten szkielet, tę ruinę, to na wpół żyjące widmo, tego suchotniczego<sup>7</sup>, wynędzniałego, ledwie posuwającego nogami, wywłokę znad niegościnnych wybrzeży Oregonu? Nigdy! *Oklaski*.

Poprawkę po ożywionych debatach oddano pod głosowanie i znaczną większością głosów odrzucono. Ale na pierwszy wniosek zamieszczono pana Harrisa jako początkowego kandydata. Wówczas rozpoczęto głosowanie. Obeszło ono zgromadzenie pięć razy z rzędu, wyboru jednak nie dokonano. Za szóstym został wybrany pan Harris, wszyscy oprócz niego bowiem oddali głosy na niego. Wtedy zaproponowano, by jego wybór zatwierdzić przez ogólną aklamację, która wszakże nie doszła do skutku, ponieważ i tym razem zabrakło głosu samego pana Harrisa.

Pan Radway zaproponował zgromadzeniu, by dopuszczono do głosowania resztę kandydatów i wspólnie dokonać wyborów w kwestii śniadania.

Przy pierwszym już głosowaniu jednak zdania się podzieliły: połowa wyborców wypowiedziała się za jednym z kandydatów ze względu na jego młodość, reszta zaś za drugim, ze względu na jego olbrzymi wzrost. Przewodniczący oddał swój rozstrzygający głos na tego drugiego, to jest na pana Messicka. Decyzja ta wywołała wielkie niezadowolenie wśród stronników pana Fergusona i zaczęto debatować nad tym, czy nie należałoby zażądać nowego głosowania; w chwili najbardziej ożywionych dyskusji wszakże ktoś postawił wniosek, by kwestię tę odłożyć do następnej sesji, i obrady ostatecznie zamknięto.

Przygotowania do śniadania odciągnęły na długo uwagę stronników Fergusona od debat w kwestii ich porażki, a gdy potem chcieli do nich przystąpić, radosna wiadomość, że podano do stołu, rozproszyła bez śladu ich pretensje i niezadowolenie.

Urządziliśmy improwizowane stoły, opuściliśmy oparcia nad ławkami, i zasiedliśmy przy nich z sercem przepelnionym wdzięcznością za najwspanialszą wieczerzę, jaką mogliśmy sobie wyobrazić w ciągu owych siedmiu straszliwych dni. Jakże zmieniliśmy się wszyscy przez ostatnich parę godzin! Przedtem beznadziejny, złowrogi smutek, głód, gorączkowa trwoga, rozpacz — teraz każdy jaśnieje radością, zadowoleniem, szczęściem nad wszelkie opisanie. Chwilę tę uważałem za najmiłą w całym swoim, obfitującym w przy-

<sup>7</sup>suchotniczy — tu: wyglądający jak zniszczony przez suchoty, tj. ostatnią fazę gruźlicy, prowadzącą do śmierci. [przypis edytorski]

gody życia. Wicher był bez przerwy, niemiłosiernie zasypując śniegiem nasze więzienie, obecnie już jednak nie był dla nas straszny. Harris niezmiernie przypadł mi do gustu. Mógł być, co prawda, trochę lepiej przyrządzony, szczerze jednak wyznam, że żaden człowiek na świecie tak mi się nie podobał i żaden nie sprawił mi tak wielkiej przyjemności. Messick okazał się również bardzo dobry, miał tylko jakiś szczególny smak, ale jeżeli chodzi o nadzwyczajną wytworność i delikatność mięsa, pierwszeństwo muszę oddać Harrisowi. Messick miał także swoje dobre strony, których bynajmniej mu nie zaprzeczam, ale na śniadanie nie nadawał się tak samo jak pierwsza lepsza mumia — ani jednego porządnego kawałka. Chudy, żylasty, brr!... Ach, cóż to był za kamień — nigdy pan sobie tego nie potrafisz wyobrazić! Ani panu w głowie postanie coś podobnego.

— Jakże pan może nawet przypuszczać... — gorąco się oburzyłem.

— Bądź pan tak dobry i nie przerywaj mi. Następnego dnia wybraliśmy sobie na kolację niejakiego Walkera z Detroit. Ten był, jak się okazało, wyborczy. Pisałem o tym nawet później do jego żony. Chłop zasługiwał na największą pochwałę. Do końca życia go nie zapomnę. Podano go niezupełnie dopieczonego, ale to dodało mu tylko smaku. Trzeciego dnia z rana przygotowaliśmy sobie na śniadanie Morgana z Alabamy. Należał on do najmilszych ludzi, z jakimi zdarzyło mi się kiedykolwiek podróżować: piękny, wykształcony, o wykwintnym obejściu, doskonale władający kilkoma obcymi językami, jednym słowem, gentleman w każdym calu, w całym znaczeniu tego słowa wzór gentlmana i... niesłychanie soczysty. Na kolację nie zdołał mimo wszystko uniknąć swego losu ów oregoński patriarcha i istotnie okazało się, że był do niczego; nie warto o nim nawet mówić — stary, suchy, twardy jak kamień. Powiedziałem wreszcie wprost, że inni niech sobie robią, jak im się podoba, ja zaś wolę się wstrzymać do nowych wyborów. Grimes z Illinois również oświadczył, że będzie czekał. „Gdy zaś — powiedział — wybierze człowieka rzeczywistej wartości, wtedy z przyjemnością do was się przyłączę”. Wkrótce stało się jawne powszechne niezadowolenie z Davisa z Oregonu i by przywrócić radostny nastrój, który tak niepodzielnie zapanował wśród nas od chwili, gdy się nam dostał Harris, postanowiono przystąpić do nowych wyborów, a w rezultacie los padł na Bakera z Georgii. Ten udał się znakomicie. Wszyscy nabrali otuchy i sprawa poszła jak po maśle. Po Bakerze przyszła kolej na Doolittle’a, Hawkinsa, McElroya (z tego ostatniego niektórzy niezbyt byli zadowoleni, ponieważ okazało się, że jest przerażająco mały i chudy), dalej Penrod, dwóch Smithów i Bailey (Bailey miał drewnianą nogę, co oczywiście było z naszą krzywdą, ale pod innymi względami udał się nad wszelkie spodziewanie); a na dodatek Indianin, chłopiec z katarzynką oraz pewien gentleman nazwiskiem Buckminster, marny włóczęga, nikomu niepotrzebny za życia, taki też okazał się i na śniadanie. Byliśmy szczęśliwi, że zdążyliśmy go wybrać, zanim nadeszła pomoc.

— A więc tyle upragniona pomoc wreszcie się zjawiała?

— Tak, przyszła pewnego jasnego, słonecznego ranka, właśnie w chwili, gdy kończyliśmy wybory. Wybrany został John Murphy i gotów jestem przysiąc, że okazałby się smaczniejszy od wszystkich swych poprzedników, ale niestety, ów John Murphy szczęśliwie powrócił wraz z nami pociągiem, który wysłano nam na pomoc i w dodatku jeszcze ożenił się z wdową po Harrisie...

— Z wdową po tym, który...

— Tak, z wdową po tym, który padł ofiarą pierwszych naszych wyborów. Żyje żonaty, szczęśliwy, kochany i dotychczas jak najlepiej mu się powodzi. Tak, tak, wszystko to stało się jak we śnie... Ale oto i stacja, na której mam wysiąść. Muszę zatem pana pożegnać. Gdyby pan znalazł kiedyś chwilę czasu i przyjechał do mnie na parę dni, byłbym panu niezmiernie rad. Ogromnie przypadł mi pan do gustu, czuję do pana wyjątkowy pociąg. Co tu długo gadać, podoba mi się pan, sir, prawie tak samo jak w swoim czasie Harris. Do widzenia, życzę panu wesołej podróży.

Towarzysz mój wysiadł z wagonu. Nigdy jeszcze w życiu nie byłem tak zdumiony, zmieszany, wstrząśnięty. W głębi duszy jednak ucieszyłem się, że mnie opuścił. Mimo całej jego delikatności obejścia i sympatycznego głosu drżałem od stóp do głowy za każdym razem, gdy spoglądał na mnie swym łakomym wzrokiem, a gdy wspominał o złowrogim pociągu do mnie, porównyując to uczucie ze słabością, jaką żywił dla świętej pamięci Harrisa, serce zamarło we mnie z przerażenia.



Byłem oszołomiony nad wszelki wyraz tym niesłychanym opowiadaniem, o prawdziwości jego wszakże nie mogłem wątpić, każdy szczegół nacechowany był bowiem niezaprzeczoną szczerością; z drugiej znów strony wszystkie te straszliwe fakty zdumiewały mnie do tego stopnia, że myśl moja, niewyobrażająca sobie niczego podobnego, stawała przed nimi jak wryta. Mimo to zauważyłem, że konduktor przygląda mu się badawczo, więc zapytałem go, kto to taki.

— Ten pan był niegdyś członkiem Kongresu i cieszył się jak najlepszą opinią — odparł konduktor. — Zdarzyło się jednak, że pociąg, w którym jechał, schwyciła na drodze zawieja śnieżna, a pan ten wraz z resztą pasażerów o mało nie umarł z głodu. Tyle się wówczas naciępał skutkiem głodu i chłodu, że potem niebezpiecznie zachorował i w ciągu trzech miesięcy był nieprzytomny. Teraz jest zdrow, został mu tylko mały bzik, a gdy zdarzy mu się w rozmowie wspomnieć o dawnym wypadku, nie przestaje, dopóki w opowiadaniu nie pożre jednego za drugim wszystkich pasażerów, jacy znajdowali się wraz z nim w tym nieszczęsnym pociągu. I tym razem byłby zjadł do ostatniego, gdyby nie to, że miał wysiąść na tej stacji. Pamięta jak pacierz wszystkie nazwiska, a gdy wreszcie zdąży zjeść cały pociąg, za wyjątkiem, naturalnie, siebie samego, kończy w ten sposób: „Potem, kiedy nadeszła chwila zwykłych wyborów na śniadanie, a opozycja już nie istniała, pozostawało mi tylko wybrać samego siebie, co też uczyniłem z zachowaniem wszelkich prawideł; że jednak nie miał kto protestować, samo przez się rozumie się, iż wyboru nie przyjąłem, dzięki czemu stoję oto przed panem cały i nieuszkodzony”.

Poczułem niewymowną ulgę, dowiedziawszy się, że słuchałem niewinnych, fantastycznych opowieści wariata, nie zaś rzeczywistych przygód chciwego krwi ludożercy.

Głód, Choroba, Szaleństwo

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <https://wolnelektury.pl/katalog/lektura/twain-ludozerstwo-w-wagonach/>

Tekst opracowany na podstawie: Mark Twain, Nowele i humoreski, Nakładem "Kurjera Litewskiego", Wilno 1910.

Wydawca: Fundacja Wolne Lektury

Publikacja zrealizowana w ramach biblioteki Wolne Lektury ([www.wolnelektury.pl](http://www.wolnelektury.pl)).

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Paulina Choromańska, Wojciech Kotwica.

ISBN 978-83-288-7462-6

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).